

ISSN 1898-7729

SKAUT



HARCERSKIE PISMO HISTORYCZNE
K W A R T A L N I K
TARNÓW, NR 1 [36], 26 MARCA 2015 r.



Władysław Czarnecki, *Pod Arsenalem* – ilustracja do książki
Aleksandra Kamińskiego *Kamienie na szaniec*, Warszawa 1946, s. 143.

OD REDAKCJI

W obecnym numerze publikujemy kolejne teksty poświęcone Andrzejowi Małkowskiemu. Są to przyczynki bardzo istotne dla zrozumienia jego roli w początkach istnienia Skautingu Polskiego. Były one publikowane przez redakcje różnych czasopism. Szczególnie ważny jest tekst napisany przez Tadeusza Strumiłło, w którym autor w oparciu o dokonania A. Małkowskiego, opisuje najważniejsze zasady skautowe Roberta Baden-Powella. Warto aby ten tekst przeczytali wszyscy instruktorzy harcerscy – dzisiejsi uczestnicy dyskusji o zmianach w Prawie i Przyrzeczeniu Harcerskim. Od dawna w Harcerstwie nie mówi się już o dokonaniach i roli T. Strumiłły. Być może ten tekst, przypomniany po dziewięćdziesięciu sześciu latach od pierwotnej publikacji, skieruje na odpowiednie tory dyskusję, a może ją przetnie jako niepotrzebną i szkodliwą. Można domniemywać nawet, że wprowadzającą socjalistyczne idee „tylnymi drzwiami” do Harcerstwa. Dyskusję uwłaczającą zwłaszcza tym, którzy starali się zrzucić jarzmo sowieckiego i socjalistycznego systemu w Polsce, co uwidoczniło się w Harcerstwie tworzeniem Kręgów Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego.

Rozmowa Juliusza Dąbrowskiego z Heleną Małkowską, matką Andrzeja jest poruszająca. Jej słowa – matki, która straciła trzech synów oddanych sprawie Niepodległości Polski, wzruszają prostotą przekazu. A trzeba pamiętać, że ta kobieta nie mogła odwiedzić grobów swych chłopców, gdyż miejsca pochówku młodszych synów – Kazimierza i Mariusza nie są do dzisiaj znane, a ciało najstarszego syna pochłonęło morze. Szkoda, że rozmówca nie dopytał o więcej szczegółów z życia Andrzeja. Wciąż, po wielu latach poszukiwań, istnieją białe plamy w jego życiorysie, które mogła wyjaśnić tylko matka.

Nawiązaniem do działalności skautowej A. Małkowskiego w Zakopanem jest tekst Lesława Dalla wyjaśniający kulisy śmierci Tadeusza Kuhna, szesnastoletniego skauta z drużyny zakopiańskiej. Jego tragiczna śmierć w Tatrach stała się kanwą dla opowiadania pod tytułem „Złe spojrzenie” napisanego

przez Stefana Żeromskiego. Publikujemy to opowiadanie w całości na podstawie tekstu zamieszczonego w „Kurjerze Lwowskim” w 1920 roku. Lektura tego archaicznego tekstu być może uświadomi czytelnikom jak wiele różnych emocji wywołuje w społeczeństwie działalność harcerska w swej najprostszej i najoczywistszej postaci – Służby.

W „Skaucie”, w dwóch pierwszych numerach z 2014 roku, wiele miejsca zajęły teksty dotyczące bohaterów książki *Kamienie na szaniec*. Jeden szczegół z ich życia – wspólny pobyt w Górkach Wielkich w czasie ostatnich, przedwojennych wakacji oraz postać A. Kamińskiego, którego pseudonim Juliusz Górecki wywodził się od nazwy tej miejscowości, łączy się z apelem Fundacji im. Zofii Kossak o ratunek dla budynków dawnego Ośrodka Kształcenia Starszyny Harcerskiej. Istnieje pilna potrzeba zajęcia się budynkami, które od 1999 roku niszeją i są rozkradane. Nie wydaje się możliwe aby władze ZHP udźwignęły ten problem. Konieczne jest tu wspólne działanie z władzami co najmniej szczebla wojewódzkiego. Zbyt długo nie można jednak zwlekać...

M. Popiel



SKAUT. HARCERSKIE PISMO HISTORYCZNE©

REDAKCJA:

Lesław Dall – Zakopane, Wiesław Kukła – Poznań,

Janusz Krężel – Mielec, Marian Miszczuk – Warszawa,

Marek Karpiński (grafika) – Tarnów,

Marek Popiel (red. naczelny, odpowiedzialny i wydawca).

33–100 Tarnów, ul. Krakowska 42/9, tel. 667 174 232

czasopismo.skaut@gmail.com www.skaut.okay.pl

SKAUT jest bezpłatnym harcerskim pismem niezależnym.

Wszelkie prawa zastrzeżone ©1996–2015. Przedruk za zgodą redakcji, za wskazaniem źródła i autora.

Teksty i przesłane materiały redakcja publikuje **nieodpłatnie**.

Przedsięwzięcie o charakterze **non profit**.

Tadeusz Strumiłło

ANDRZEJ MAŁKOWSKI

„Harcistrz, Miesięcznik Instruktorski. Organ urzędowy Naczelnej Rady Harcerskiej i Naczelnego Inspektora Harcerskiego, Warszawa, maj 1919, nr 5, s. 65–66.



Winieta warszawskiego „Harcistrza” z 1919 r.

Harcerstwo polskie poniosło bodaj najcięższą stratę, jaką ponieść mogło.

Odszedł ten, którego słusznie dh. komendant Wyrzykowski nazywa „pierwszym skautem polskim”, kierownik pierwszego kursu skautowego w Brzechowicach, autor pierwszego polskiego podręcznika „Scouting jako system wychowania młodzieży”, i najlepszej książki harcerskiej „Jak skauci pracują?”, inicjator i pierwszy redaktor lwowskiego „Skauta” organizator niestrudzony drużyn w Małopolsce, faktyczny przewodnik wycieczki polskiej do Anglii i pierwszy przedstawiciel polskiego Harcerstwa wobec obcych, znany i uznany przez gen. Baden-Powella, który mu wręczył w Birmingham osobiście odznakę „Za zasługę”.

Śmierć jego jest prawdziwą klęską. Teraz właśnie, gdy znajdujemy się w momencie krytycznym, gdy trzeba ustalić wytyczne zjednoczonego Harcer-

stwa w wolnej Polsce, – gdy tak nam brak starszych pracowników, pojmujących genialność metody baden-powellowskiej i umiejących wyciągnąć z niej wszystkie konsekwencje, – teraz właśnie zabrakło nam istotnego przodownika.

Zanim zgromadzone zostaną szczegóły biograficzne, umożliwiające napisanie obszerniejszego życiorysu „pierwszego skauta polskiego” – by żył wiecznie w pamięci braci harcerskiej, godzi się nam starszym, rozważyć te myśli i dążności, jakie Małkowski w Harcerstwie naszym reprezentował, i w ten przynajmniej sposób dopuścić go niejako do dyskusji dzisiejszej o przyszłości naszego ruchu.

Kilka takich zasadniczych zagadnień chcę tu dziś właśnie poruszyć – nie wyczerpać. Dyskusja winna się dokoła nich poważnie dalej potoczyć.

Przede wszystkim był Małkowski *żywą syntezą* tych różnostronnych uzdolnień, potrzeb i aspi-

racji, które składają się na pełnię polskiego typu harcerskiego.

Przeszedł osobiście w latach szkolnych i uniwersyteckich przez cały szereg kół i zrzeszeń, które wszystkie dla przyszłej odrodzonej Polski pracować chciały, ale zwykle popadały w taką czy inną jednostronność. Rzutkość Małkowskiego i jego bogata natura nie pozwalała mu zasklepić się w żadnej takiej jednostronnej robocie, z każdego grona umiał jednak wziąć najważniejsze zdrowe idee i zachować osobisty przyjacielski stosunek z ich wybitnymi przedstawicielami. Poznając dzieło Baden-Powella, ujrzał otwierającą się możliwość harmonizacji wszystkich owych zdrowych dążeń i pięknych idei w jednolitym ruchu wychowawczym i z właściwą sobie żarliwością postanowił życie swe całe poświęcić tej sprawie.

W takim właśnie duchu dobrał Małkowski z d-em Wyrzykowskim grono pierwszej kolumny Skautowej lwowskiej: obok sokołów, reprezentujących systematyczną kulturę fizyczną, weszła młodzież „narodowa” z jej dążeniem do samokształcenia, weszli „zarzewiaczy” wnoszący żarliwość niepodległościową wraz z tendencją wojskową i elsonie z ich bezwzględnością wymagań moralnych (pogłębienie 10 punktu prawa!) i dążnością do oparcia odrodzeniowej myśli na głębszym wnikięciu w ducha Wieszców i Szczepanowskiego.

Sam Małkowski należał do wszystkich tych grup i umiał ukazać ich przywódcom potrzebę i możliwość zespolenia się we wspólnym działaniu.

Strzegąc całości przed wyjednostkowaniem, wypaczeniem, usiłował umożliwić wszystkim swobodny rozwój ich aspiracji na gruncie ruchu, który – jak uważał – powinien ogarnąć całą młodzież polską ideową, zdrową, stapiając w sobie wszystkie dotychczasowe organizacje i kółka.

Czy myśl ta przestała być aktualna? Czy nie na tej drodze leży przyszłość ruchu harcerskiego? Czy nie to jest jego misją wobec młodzieży polskiej? – Sami to rozważcie.

Znajomość różnych ideowych środowisk młodzieży, ich skłonności do ulegania prądom chwili, do wyciągania krańcowych wniosków, do fanatycznej jednostronności, do naginania faktów do powziętych z góry wyobrażeń, – pobudzała Małkowskiego do szukania na te ujemne cechy antidotum w ożywieniu tych naturalnych zamiłowań i zainteresowań młodzieńczych, które genialnie podchwycił Baden-

Powell i na których oparł cały swój skauting. Obserwacja natury, faktów bezpośrednich, proste, żadną tendencją nie wykrzywione wnioskowanie, nacisk na najogólniejsze bezwzględne pewniki niepartyjnej ideologii narodowej i na codzienną praktyką samowychowawczego wysiłku moralnego, braterstwo powszechne skautowe zamiast koteryjnego partykularyzmu, serdeczny węzeł przyjaźni i ufności między młodzieżą a dorosłymi instruktorami, czynny, stale inicjatywę pobudzający ton całego życia i ducha skautowego – to wszystko widział Małkowski we wzorze Baden-Powella.

Uznając konieczność spolszczenia skautingu, nie chciał dopuścić do ściągnięcia go na poziom banalnych organizacyjnych wzorów krajowych. To też od początku z całym naciskiem nawoływał *do wierności dla wzoru Baden-Powella*, twierdząc, że dopiero w realizacji jego będziemy mogli odczuć i zrozumieć istotny sens wychowawczy jego szczegółów i dopiero wypróbując je zdołamy trafnie osądzić, co w nich warto zmienić zgodnie z pewną odmiennością typu psychicznego polskiego.

Na razie wprowadzajmy tylko treść polską do życia uczuciowego i umysłowego na miejsce treści angielskiej, formy jednak zachowajmy możliwie jak najwierniej baden-powellowskie.

Gdyby nie bezwzględny upór Małkowskiego w tym punkcie, kto wie jakim już dotąd nasze Harcerstwo uległoby wypaczeniom i ile odrębnych lokalnych warjacji by natworzyło!

I znowuż godzi się poważnie rozważyć, czy dzisiejsze niedomagania naszej pracy nie płyną w znacznej mierze z tego, że wojna nas od wzoru baden-powellowskiego dość daleko odsunęła?

W związku z wiernością dla tego wzoru stoi zagadnienie zasadnicze: *czem jest skauting?* U nas najczęściej się na to odpowiada – organizacją młodzieży. Małkowski inaczej myślał. Dla niego skauting był to pewien *typ życia*, był to ruch, prąd życiowy, ideowy, nabierający zdecydowanych cech systemu wychowawczego i posługujący się formami organizacyjnymi z zupełną swobodą, co dopiero umożliwiał mu ogarniać różne narody, różne wyznania, różne partje polityczne, różne zawody, klasy. Przenoszenia do skautingu na naszym gruncie dawnych form organizacyjnych z ich fatalnymi grzechami – gadulstwem, ambicjami, walką o władzę, formalistyką – obawiał się najbardziej i prosto rozpacział chwi-

lami, widząc (już przed wojną), że Harcerstwo na te bezdroża zmierza.

Czy nie miał słuszności? Niech odpowiedź da nam trzeźwa ocena, jaką szkodę istotnej pracy samowychowawczej, twórczej, ideowej przynosi w dzisiejszym Harcerstwie hipertrofja organizacyjnych formalności i ambicji.

Te kilka punktów ukazują jasno stanowisko Małkowskiego wobec zagadnień, od których przyszłość Harcerstwa zależeć będzie. Sądzę, że winienem był pamięci nieodżałowanego brata i przyjaciela przede wszystkim podkreślenie tych właśnie rysów jego harcerskiej indywidualności. ■

T. Strumiłło

Stanisław Sedlaczek

Ś. P. ANDRZEJ MAŁKOWSKI

„Harcerz, Tygodnik Młodzieży Polskiej”, Warszawa, 7 czerwca 1919, nr 22, s. 1–2.

Odszedł powołany do służby wyższej, „na wieczną wartę” jeden z twórców harcerstwa, autor naszego pierwszego podręcznika harcerskiego i redaktor pierwszego harcerskiego pisma...

Jeszcze na ławie szkolnej dał się poznać Andrzej Małkowski, jako dzielny organizator, przodownik w ruchu odrodzeniowym młodzieży. Znały go dobrze kółka „Eleuterji” i „Eleusis.” W r. 1911 widzimy go u kolebki Ruchu harcerskiego o którym jeszcze w 1909 pierwsze wieści do Polski dotarły za pośrednictwem nieżyjącego już dziś E. S. Naganowskiego. „Naczelnik Związku Sokolego użył mnie do napisania pierwszego polskiego podręcznika skautowego i do stworzenia organizacji skautowej młodzieży polskiej” – pisze A. M. w „Skauście” lwowskim Z. 1. II. 1913 o początkowej pracy organizacyjnej, w której położył ogromne zasługi. Wdzięczną wiedziony intuicją umiał odczuć ducha skautingu angielskiego, umiał zarazem przystosować oba pomysły do warunków, potrzeb i charakteru narodowego polskiego, co więcej, już w pierwszych poczynaniach podkreślić konieczność oparcia harcerstwa polskiego o narodowe tradycje. Są zapewne działacze harcerscy bardziej zasłużeni około starań o unarodowienie harcerstwa, bodaj największe zasługi w tym względzie położył prof. Piasecki, ale za wielką zasługą ś. p. Andrzeja poczytać należy, że harcerstwo już pierwsze kroki w Polsce stawiało po polsku.

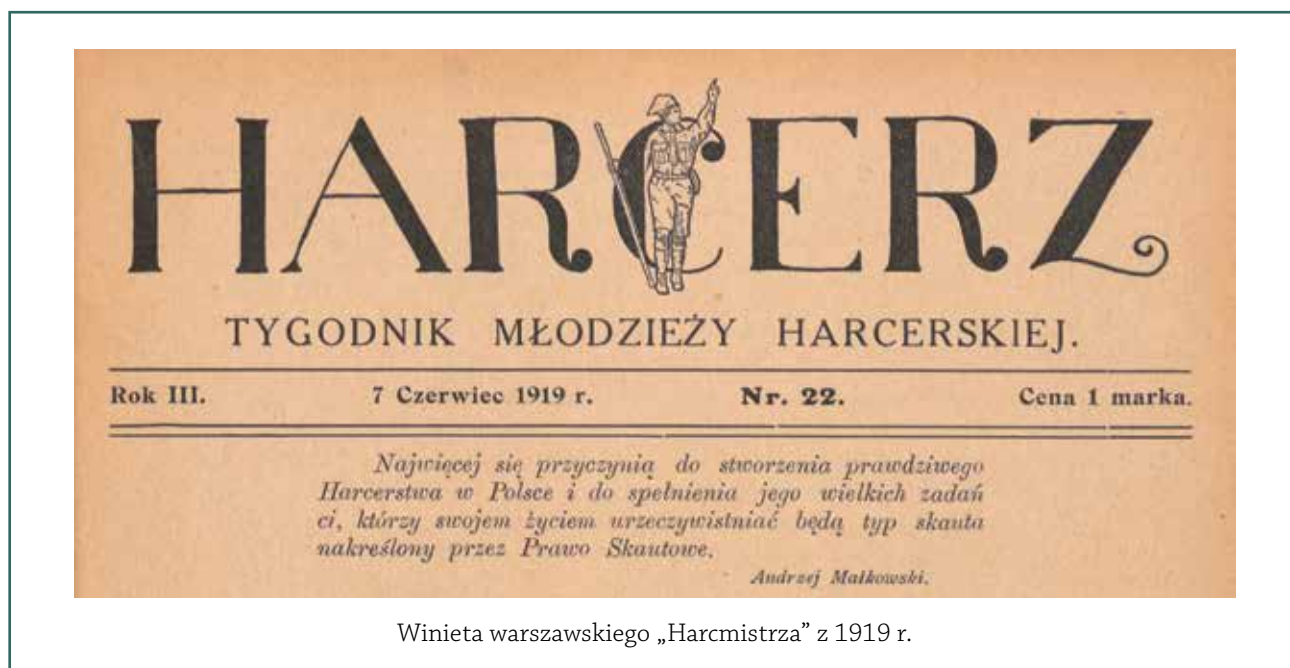
Wiosna, lato i jesień 1911 r. to okres żmudnej pracy twórczej i organizacyjnej. Dzięki inicjatywie i staraniom Naczelnika Dra Kazimierza Wyrzykowskiego, Związek Sokoli nie szczędzi funduszków na harcerstwo: Małkowski pisze i wydaje nakładem związku (kwiecień–lipiec 1911 r.) „Scouting jako system wychowania młodzieży,” organizuje kursy przy „Sokole-Macierzy” we Lwowie, objeżdża Galicję z odczytami – a równocześnie, przy współudziale Ignacego Koziulewskiego, redaguje „Skauta”. Najlepsze artykuły, najbliższe życia, przede wszystkim niezrównane gawędy, są pióra Małkowskiego. Niewielu jest instruktorów, którzyby umieli tak przemawiać do młodzieży słowem żywym czy pisanym, jak to potrafił Andrzej – to też pierwszy rocznik „Skauta” jest jedną niezmiernie żywą rozmową instruktorów z Naczelnej komendy – z drużynowymi przybocznymi i całą młodzieżą harcerską.

Wiosną, 1912 roku, jedzie do Anglii, aby na miejscu zapoznać się bliżej z metodami pracy, aby nawiązać stosunki z angielską Główną Kwaterą – zebrać materiały do drugiego wydania podręcznika; zasila „Skauta” w dalszym ciągu gawędami, wpłatając w opowiadania ze swego pobytu w drużynach – cenne nieraz uwagi i wskazówki dla instruktorów.

Po powrocie pracuje Małkowski w dalszym ciągu. Myśli przede wszystkim o tem, aby umożliwić większej grupie instruktorów i harcerzy zapoznanie

się ze skautingiem angielskim choćby ogólne bardzo, ale w bezpośrednim zetknięciu, w Anglii. To też bardzo usilnie zabiega około zorganizowania wycieczki na zlot w Birmingham, na który otrzymało harcerstwo polskie oficjalne zaproszenie. Drużyna polska wyróżniła się doskonałą postawą, karnością – otrzymała dyplom za prace stolarskie, na wystawie wykonane na poczekaniu, budziła ogromne zainteresowanie. Stosunkom, nawiązanym już uprzednio

o którymby tam Małkowski choć w paru słowach swego zdania nie powiedział. Książka ta, to wynik jego przeżyć harcerskich i przemyśleń, przemyśleń może nieraz nie doprowadzonych do końca, pomysłów może nie zawsze harmonizujących wzajemnie z sobą i potrzebami ruchu, ale nie mniej ciekawych, pobudzających do zastanawiania się – i własnego rozwiązywania wychowawczych i organizacyjnych zagadnień harcerskich.



Winieta warszawskiego „Harcmistrza” z 1919 r.

przez Małkowskiego i jego udziałowi w organizowaniu drużyny zawdzięczamy w dużym stopniu, że zostaliśmy uznani za „skautów Baden-Powellowskich”, o co bezskutecznie starali się Niemcy i Rosjanie. Małkowski otrzymał w Birmingham od Baden-Powella złoty medal zasługi – za pracę harcerską w Polsce.

Sprawozdanie ze zlotu i wystawy umieścił Małkowski w obszernej pracy „Jak skauci pracują”, wydanej w r. 1914 w Krakowie. Jest to bodaj najciekawsza harcerska książka, bezsprzecznie zaś najstarszemu wydaniu, ozdobiona licznymi ilustracjami. Żywy, budzący zainteresowanie styl ś. p. Andrzeja, błyszczy w niej naprawdę świetnie; książkę, poruszającą wiele poważnych zagadnień – w sposób poważny, czyta się jak powieść. Warto ją przeczytać kilkakrotnie, jeżeli chce się zapoznać dokładnie z ruchem harcerskim. „Jak skauci pracują” – to o wiele więcej, niż opis wycieczki do Anglii, to pamiętnik jakby jednego z pierwszych polskich harcmistrzów i niema chyba zagadnienia naszej pracy,

Gdybyśmy chcieli czytać tę książkę, gdybyśmy chcieli przestudjować przepiękne jej rozdziały, traktujące o życiu Baden-Powella i o pierwszych początkach skautingu – ileżbyśmy mogli skorzystać dla codziennej pracy naszej.

Wojna zastała Małkowskiego w Zakopanem. Wstąpił do Legjonów, przedzierał się w jakichś misjach do Warszawy – nie mógł jednak znieść braterstwa broni z Prusakami i Austryjakami, otrzymał z Legjonów zwolnienie i wyjechał do Szwajcarii. Starł się o przyjęcie do armji angielskiej, jednak jako cudzoziemcowi nie udało mu się tego dopiąć. Przyjmuje wobec tego zaproszenie „Narodowego Związku Polskiego” w Ameryce do zorganizowania tam polskiego harcerstwa. W r. 1916 organizuje pierwsze polskie oddziały wojskowe ochotnicze w Kanadzie i z nimi przybywa do Europy. Przy pomocy jednej z polskich harcerek, obecnie żony wybitnego działacza politycznego, udaje się Małkowskiemu przenieść do armji Hallera. W ważnej misji wojskowej wysła-

ny do jen. Żeligowskiego, jedzie do Odessy; w zatoce Messyńskiej statek ich „Chaonia” wpada na minę i tonie. Towarzysz Małkowskiego ocalał – Andrzeja Bóg powołał do siebie.

Zginął Małkowski na posterunku, licząc lat dopiero 31. Śmierć jego – to strata olbrzymia dla harcerstwa. Niezmiernie ruchliwy, miał w sobie coś z cowboya amerykańskiego, coś z stanicowego harcerza. Jego energia porywała ludzi, poruszała ich

i prowadziła po drogach pracy i służby Ojczyźnie. Sam jeden byłby harcerstwa nie stworzył i nie poprowadził, ale w zespole naczelnych przywódców Ruchu był i byłby nadal niezbędny; on, jak nikt rozumiał młodzież i umiał się z nią porozumieć, on, jak nikt, ujmował całość harcerstwa, nie wrywał i nie wyolbrzymiał pojedynczych szczegółów. Harcmistrze polscy boleśnie odczuli jego stratę. ■

S. Sedlaczek

[Adam Ciołkosz]

JAK ŻYŁ I UMARŁ ANDRZEJ MAŁKOWSKI*)

„Czuwaj. Czasopismo Młodzieży Polskiej”,
Tarnów, styczeń 1920, r. II, nr 1 (8), s. 2–3). 1, s. 3, 5.



Winieta pisma „Czuwaj” z 1920 r.

Andrzej, Juljusz Małkowski urodził się 31-go października 1888 r. w Trembkach koło Kutna (na pograniczu dawnego woj. Rawskiego i Brzesko-Kujawskiego). Do szkół uczęszczał w byłym zaborze austr. Był jednym z współzałożycieli tow. abstynenckiego młodzieży krakowskiej „Młodzież”. Był członkiem towarzystw: „Eleusis”, „Wyzwolenie”,

* Z listu p. Olgi Małkowskiej, żony zmarłego, do ppor. A. Ciołkosza, pomieszczamy pewne ustępy zawierające ciekawe przyczynki do biografii pierwszego polskiego harcerza. Pisownia oryginału została zachowana bez zmian.

„Sokół”, „Kuźnica” i „Drużyny Strzeleckie”, należał również do tajnych kółek organizowanych przez młodzież niepodległościową.

W lutym 1911 r. zorganizował pierwszy kurs skautowy we Lwowie, w Sokole-Macierzy, gdzie też równocześnie założył pierwsze pismo skautowe „Skaut”. Pismo to redagował sam przez rok.

W początkach wojny wstąpił do Legionów Piłsudskiego, niebawem jednak wyjechał z kraju, by walczyć przeciw Niemcom. Starania jakie czynił w Anglii, by być przyjętym do armii angielskiej

spełży na niczym z powodu, że był cudzoziemcem. W tym czasie Związek Narodu Polskiego w Ameryce wezwał go by zorganizował skautostwo polskie wśród tamtejszego pochodztwa polskiego. Wyjechał do Ameryki z końcem sierpnia 1915 r. Tu, mimo olbrzymich trudności udało Mu się zorganizować 10.000 skautów. Wydał 3 książeczki: „Pierwsze kroki w skautostwie”, „O wychowanie skautowe” (zbiór artykułów objaśniających cele i zadanie skautostwa), „Musztra skautowa”.

Założył też tajną organizację „Żołnierze Białego Orła”, która była organizacją wojskowo-patriotyczną i miała być zaczątkiem „legjonu polskiego”, którego założenie wciąż miał na myśli. Niestety intrygi i zawiść rodaków rozbiły tę pracę w zarodku. W listopadzie 1916 r. wstąpił do armji kanadyjskiej, gdzie służył najpierw w konnicy (Canadian Mounted Rifles), następnie w piechocie, w końcu w oddziałach technicznych budowy kolei (Canadian Railway Troops). W listopadzie 1917 r. przybył do Europy w marcu 1918 r. udał się na front bojowy do Belgji, gdzie pozostawał do 28-go października 1918. Wówczas to, po przeszło 1 1/2 rocznych staraniach, został nareszcie przeniesiony do armji polskiej, gdzie po złożeniu egzaminu dostał stopień podporucznika, a w parę tygodni później porucznika. 13-go stycznia 1919 wyjechał z Marsylii w misji wojskowej do Odessy wraz z por. lotnikiem Rudlickim. Parowiec, którym jechał „Chaonia”, natknąwszy się w cieśninie mesyńskiej na zabłąkaną minę podwodną, wyleciał w powietrze o północy dnia 15–16 stycznia. Por. Rudlicki ocalał.

Śmierć Andrzeja była równie piękną jak i Jego życie; nie każdemu danem jest tak ginąć. Cały tragizm jej leży w tem, że nadeszła w chwili, gdy po długiej i ciężkiej służbie wśród obcych nagle ujrzał Andrzej swe marzenia spełnione – był w armji polskiej, służył Polsce i niebawem miał powrócić do Polski i tam rozpocząć najważniejszą pracę swego życia, pracę nad młodzieżą polską. Olbrzymi i wspomniały był jego projekt organizacji tej młodzieży. Nie byłoby to „spolszczenie skautostwa” ale organizacja oryginalna, rodzima, nasza w każdym szczególe choć ze skautostwem spokrewniona. Niestety Andrzej nie chciał swoich planów spisywać; zawsze odpowiadał: „wolę wprzód zrobić, niż rozpisywać się o tem co jest dopiero zamysłem”. W ostatnim liście z dn. 12-go stycznia Andrzej pisze:

„Z wielkim nakładem pracy wysłano nas w drogę. Ale co my w zamian zrobimy, czym zapłacimy za wszystko, co dla nas uczyniono, tego nie wiem, a nawet nie mam o tem wyobrażenia. O! jak bardzo pragnę dziś światła i sił! – W ciągu całej wojny nic dla Polski nie uczyniłem. Ostatnie dwa lata byłem związany w obcej, kanadyjskiej armji. Teraz kazali mi pracować, wskazują i posyłają w drogę, – której nie znam, która wydaje mi się nie do przebycia. Łatwo to skończyć misję i wrócić do Paryża, czy do Warszawy. Łatwo siedzieć w hotelach i jeździć pięknymi okrętami. Ale jakie czyny poza słowami przynieść!”

Charakterystyczny jest tu Jego pesymizm z jakim się o swojej wyprawie wyraża. „Nigdy poprzednio w najcięższych sytuacjach nie zauważyłam u Niego najłżejszego cienia zwątpienia w powodzenie podjętego zadania. Jestem pewna, że intuicyjnie przeczuł katastrofę, jak i poprzednio zawsze umiał przeczuć każdy cios, który Go miał spotkać”.

[A. Ciołkosz]

Juliusz Dąbrowski

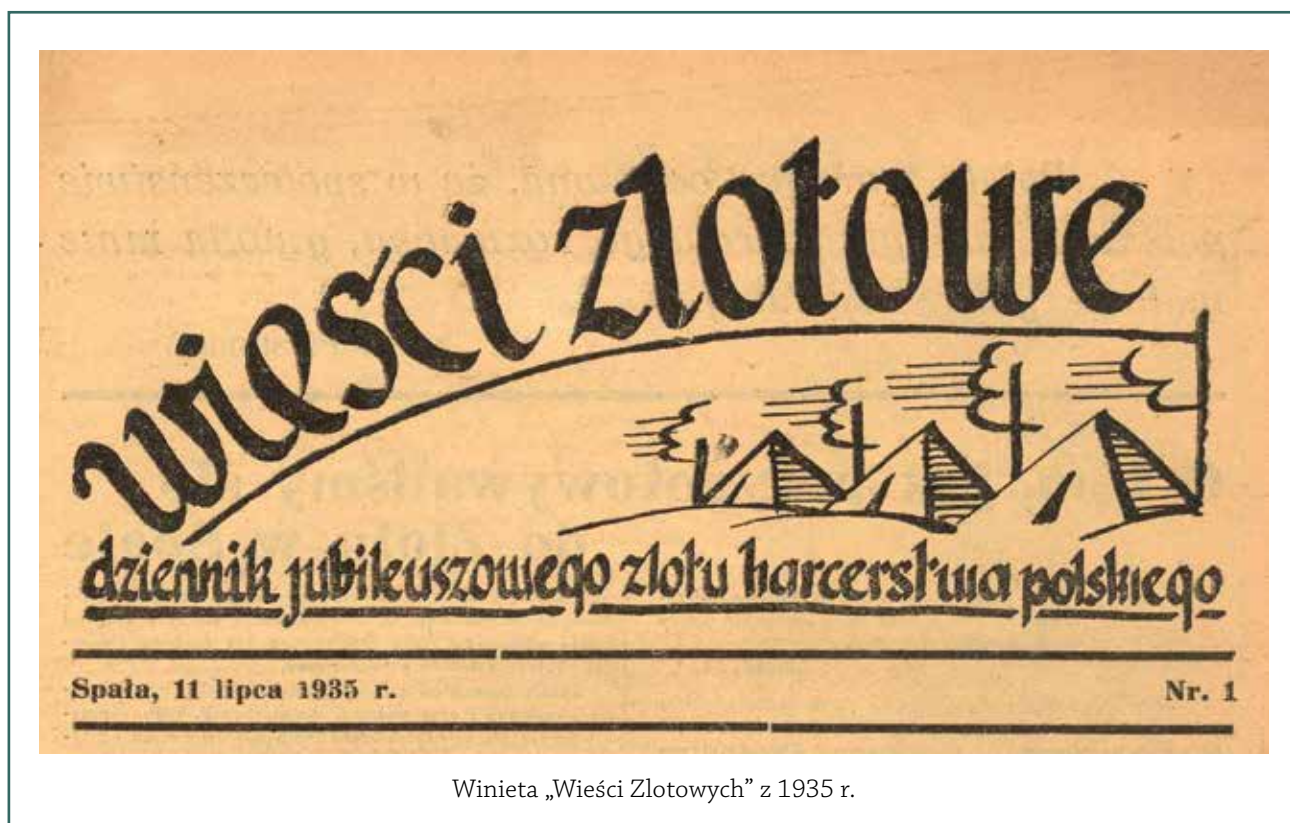
U MATKI

„Wieści Złotowe.

Dziennik Jubileuszowego Złotu
Harcerstwa Polskiego”,
Spała, 11 lipca 1935, nr 1, s. 3, 5.

Andrzeja Małkowskiego postać nad naszymi wspomnieniami o czasach Harcerstwa góruje, jak żadna inna. I komuż na myśl o nim nie zabije żywej serce? Któż pominie okazję, by więcej jeszcze się o nim dowiedzieć, choć tyle już nam ciekawego opowiedziała piękna książka „Andrzej Małkowski” A. Kamińskiego?

Tą ciekawością wiedziony, szukając dla czytelników „Wieści Złotowych” wieści o Twórcy polskiego Skautingu, udałem się tam, gdzie mogłem znaleźć naj-



Winieta „Więści Złotowych” z 1935 r.

pewniejsze, najbardziej serdeczne źródło wspomnień o pierwszym Harcerzu. W towarzystwie druha phm. M. poszedłem do Matki ś. p. Druha Andrzeja.

Na ulicy Złotej w Warszawie małe mieszkanko. Długo się dzwoni, nim stara służąca uchyli drzwi. Wchodzimy. Za chwilę chylimy głowy przed starszą Panią o żywych oczach i miłym, zachęcającym do rozmowy głosem. Przedstawiamy się, jako harcerze.

– Aa! – miły uśmiech i pierwsze lody przełamane. Wyjaśniam cel odwiedzin. W chwilach dwudziestopięciolecia Harcerstwa – dzieła Druha Andrzeja – pragnęliśmy zdobyć dla harcerki i harcerzy, czytelników naszego pisma, garść wspomnień. Niechby pogłębiły uczuciem serdecznym nasze dzisiejsze przeżycia.

Nie trzeba namawiać. Zasuwiają się oczy mgłą wspomnień. Słuchamy.

– Gdy się Adzio urodził, mieliśmy tylko jedną córkę. To był pierwszy syn. Mieszkaliśmy wtedy w ładnym dworze (spoglądamy na staroświecką fotografię) w Trębkach, to niedaleko Kutna. Majątek był dawniej bardzo duży, ale Moskale wielką część skonfiskowali. Bo pan sędzia (Ludwik Małkowski, dziad Andrzeja) zamieszany był mocno w powstaniu; tak jak i drugi dziad, po kądzieli... Nastroje były w domu patriotyczne; Andrzej i potem jego

dwaj młodszy bracia dowiedzieli się o Polsce wszystko, co wiedzieć wypadało. Nie zapomnieli...

– Te nastroje zwracały uwagę sąsiadów. Ba, nie tylko sąsiadów... Przed gankiem na klombie był biały orzeł; kłuł oczy, kłuł! Sąsiad, ksiądz proboszcz, przeźornie ostrzegwał. Ale orzeł zakwitał co roku. W czworakach działała szkółka dla dzieci. Płacił mąż kary. Szkółka działała.

W takiej atmosferze wyrastał Andrzej. Był żywy. Ciekawski. Badał, szperał. Kiedyś ofiarą przedziwnych wypraw 4-ro letniego Adzia stały się doniczki pięknych kwiatów w bawialni. Innym razem spłonął piękny szal orenburski; nie wytrzymał próby ognia.

– Czy długo państwo pozostawali w Trębkach? – wtrącam.

– Przygotowałam Andrzeja do drugiej klasy i odwiozłam go do gimnazjum do Warszawy. Po dwóch zaś latach przenieśliśmy się do Krakowa. Mąż sprzedał majątek, osiedliliśmy się na stałe w mieście. Andrzej chodził do szkoły realnej. Był żywy, ale poważny. Umiał myśleć. Uczyłam go samodzielności. Szanowałam człowieka w dziecku – powtarza w zamyśleniu Pani Małkowska – może dlatego potem miał tyle inicjatywy. Któregoś dnia weszłam do jego pokoiku. Między książkami natrafiłam na kartkę: „Od dziś moje życie należy do

Ojczyzny”. Niech pan to napisze dla harcerzy. Miał wtedy 13, albo 14 lat. Innym razem, na moje powitanie powstał z krzesła w pokoiku Andrzeja jakiś pan o poważnej pięknej twarzy. Był to profesor Wincenty Lutosławski. Specjalnie przychodził do Adzia, jednego ze swoich Elsów. My zaś wszyscy należeliśmy do Eleuterii. Andrzej nie przejmował się nazbyt nauką, ale cenzur złych nie miał. Gorzej było z zachowaniem. Jednak nie były to chłopackie burdy. Coś tam knuł z kolegami, coś szykował, co się profesorom nie podobało. Z jednej szkoły go nawet usunęli. Za dużo życia w nim było, jak na austriacką szkołę. Za to w domu dużo czytał. Uczył się angielskiego. A gdy po śmierci męża musieliśmy się ograniczyć, Andrzej się zawiązał i bez nauczyciela dał sobie radę z angielskim. Wiecie przecież, jak potem tę książkę angielską tłumaczył. Łączył tę chęć do nauki i wytrwałość z żywością.

Mieszkaliśmy na Wolskiej, naprzeciw Sokoła, niedaleko parku Jordana. Wciąż tam chłopcy biegali. Musiał być Andrzej lubiany przez kolegów, bo był zawsze pogodny i wesoły. Jednego razu śmiechy w pokoiku chłopców. Otworzyłam drzwi, ach! – cóż widzę! – tu uśmiech zabłysnął na wargach pani Małkowskiej i zaraz prośba – ale tego to niech pan już nie opisuje...

Więc nie opisuję śmiesznego figla wesołego Adzia. Ale, droga pani, nie potrzeba nic tacić, to był dobry kawał. Właśnie dlatego nam druh Andrzej taki drogi, iż wiemy, że młodym chłopakiem więcej dokazywał, niż dzisiejsi chłopcy spod jego znaku! Ale niechże dyskrecji stanie się zadość...

– Mijały lata. Andrzej skończył szkołę. Chciał koniecznie do politechniki. Nie sprzeciwiałam się. Pojechał do Lwowa, rozstaliśmy się. Dalej już wiecie z książki pana Kamińskiego. Wziął na swe barki ciężar skautingu. Rzadko się komunikowaliśmy. Czasem pisywał do mnie. Miał dużo pracy, dużo kłopotów.

Zaciekawia nas moment wybuchu wojny.

– Wszyscy trzej wstąpili do legionów. I Andrzej, i Kazik i Mariusz.

Zamyśla się pani Małkowska. Zasmuca się twarz, Szanujemy tę wędrówkę w przeszłość. Nastaje chwilka ciszy.

– Wszyscy trzej poszli i żaden nie wrócił.

Nieśmiało pytamy, czego się dowiedziała matka o śmierci morskiej syna.

– W tej waszej książce to dobrze napisane. Dodam jeszcze jeden szczegół. Andrzej postanowił pójść do kajuty. Zawołał „dobranoc” i skierował się ku schodkom. Oficer, współtowarzysz jego, namawiał go do zostania. Noc była piękna. Przyłączyli się do namów inni. Andrzej nawet chciał – lecz się oparł: „Przecież powiedziałem „dobranoc”, nie powinienem się cofać”. Bo w najmniejszym nawet szczególe strzegł mocy swych stów. I tam, w kajucie, zastał go wybuch miny...

Generał Haller, z misją od którego jechał porucznik Małkowski, przyjął potem żałobą okrytą matkę. Serdecznie wspominał pierwszego skauta.

Serdecznie, serdecznie wspominaamy pierwszego skauta. I gdy milknie głos matki jego, przygłuszony smutnym, milczącym zamyśleniem, nie dopominamy się dalszego ciągu. Wodzimy okiem po ścianach. Dawne fotografie. Niektóre, wiszące tu poprzednio, odesłała pani Małkowska na użytek komendy Złotu – widzimy je na wystawie zlotowej, w dziale historycznym. Tam dalej akwarela: dobrze uchwycony, ruch kurki-kokoszki, dziobiące ziarno. To druh Andrzej malował. Tam w kuferku, jego dawne zeszyty. Owiewają nas wspomnienia, owiewa smętek. Lecz się otrząsamy. Nie smętkiem, nie żalością uczcijmy pamięć pierwszego Harcerza: wysiłkiem pracy. ■

J. Dąbrowski

M. Lachowicz

PIERWSZY SKAUT POLSKI

„Płomyk. Tygodnik Ilustrowany
dla dzieci i młodzieży”,

Warszawa, 13 marca 1929, nr 28, s. 655–658.

Tak nazywają wszyscy śp. Andrzeja Małkowskiego. Słyszeliście już pewnie o Nim niejednokrotnie. Słyszeliście pewnie, że to On pierwszy począł organizować drużyny harcerskie we Lwowie, a także zachęcać i innych do zakładania drużyn.

Urodził się w roku 1888, 31 października, do gimnazjum chodził we Lwowie i Krakowie.

Był bardzo ruchliwym i czynnym, dlatego też organizował różne kółka szkolne, a później akademickie.

W roku 1911 zaczął pracować nad stworzeniem harcerstwa we Lwowie. Zakłada drużynę, pisze podręcznik skautowy i wreszcie wyjeżdża do Anglii, ażeby na miejscu zobaczyć, jak należy drużyny prowadzić.

Po powrocie do Lwowa zakłada pismo skautowe „Skaut” i wszystkie swój czas poświęca tylko harcerstwu. W latach 1912 i 1913 urządza kursy instruktorskie dla drużynonowych.

Na początku 1913 r. dostaje dh. Małkowski zaproszenie do skautów angielskich na 1 zlot międzynarodowy w Birmingham (miasto w Anglii). Dużo trzeba było przezwyciężyć trudności, ażeby na zlot ten mogła wyjechać reprezentacja polska. 23 czerwca 1913 r. wyjeżdża z Krakowa drużyna polska, licząca 41 chłopców i 11 instruktorów.

2 lipca drużyna była już w Anglii, gdzie budziła podziw dla swej dziarskiej postawy. Zlot ten i pobyt naszej drużyny w Anglii opisał Małkowski w książce p. t. „Jak skauci pracują”.

Drużyna otrzymała za prace stolarskie, wykonane na wystawie, dyplom. Wysuwano ich wszędzie na pierwsze miejsce. „Baden-Powell pisze Małkowski – zsalutował powiewającego na ziemi angielskiej orła białego i przypiął sobie na piersi małego srebrnego orzełka. Oznaki żadnej innej organizacji nie nosił. Orzełka widzieliśmy jeszcze w trzy dni potem”.

Po powrocie z Anglii pracuje Małkowski nadal z zapałem. Prowadzi drużynę, redaguje „Skauta” i pisuje artykuły do innych gazet skautowych. Dzielnie pomaga mu w tem młoda żona, druchna Olga z Drohonowskich Małkowska, zakładając i prowadząc pierwszą w Polsce żeńską drużynę skautową.

Po wybuchu wojny dh. Małkowski wstępuje do Legionów Piłsudskiego.

Później widzimy go w Wiedniu, w Szwajcarii, w Paryżu, wreszcie Londynie. Chce wstąpić do wojska angielskiego, ale go nie przyjęto, ponieważ był cudzoziemcem. Wyjeżdża więc do Ameryki, gdzie zakłada polskie oddziały ochotnicze, starając się jednocześnie o wcielenie do wojsk kanadyjskich.

Wiosną 1917 r. widzimy go na czele 5000-ego oddziału ochotniczego, z którym wyrusza do Francji.



Strona tytułowa „Płomyka”, 1929 r.

Rok 1918 zastaje go we Francji. Po przyjeździe zaraz przenosi się do wojsk polskich gen. Hallera.

W końcu roku 1918 wysłał go gen. Haller z misją do gen. Żeligowskiego, będącego wówczas na Ukrainie. Z Marsylii wyrusza okrętem do Odessy. Niestety, na Morzu Czarnym natknął się okręt na zabłąkaną minę i wyleciał w powietrze.

W ten sposób zginął Andrzej Małkowski dnia 16 stycznia 1919 r., mając lat 31. W kraju pozostała żona, znana wszystkim harcerkom jako „Dhna Oleńka” z Cisowego Dworku w Sromowcach, oraz 4-letni syn.

Małkowski zginął tak, jak żył: w służbie Ojczyzny. Dziś po 10 latach jest w Polsce bardzo dużo drużyn harcerskich, które za patrona swego obrały sobie Andrzeja Małkowskiego. Drużyny te bardzo uroczysto obchodziły rocznicę Jego śmierci. Wspaniałą akademią i uroczystością uczciła go Chorągiew Lwowska, a przede wszystkim sam Lwów. ■

M. Lachowicz

Lesław Dall

SKAUT TADZIO KUHN I „ZŁE SPOJRZENIE” ŻEROMSKIEGO

Na Nowym Cmentarzu w Zakopanem znajduje się grób 16 letniego Tadeusza Kuhna, który zginął tragicznie 7 września 1919 roku na wycieczce w Tatrach. Ojciec Adam, emerytowany urzędnik kolejowy, był ociemniały. Utrzymaniem rodziny zajmowała się matka Maria, haftując artystycznie przedmioty codziennego użytku. Tadeusz był ich jedynym synem.

Urodził się 10 grudnia 1903 roku w Krakowie. W latach 1914–1919 uczył się w Prywatnym Gimnazjum Realnym w Zakopanem (kl. I–VI) osiągając bardzo dobre wyniki w nauce. Czynnie działał w kółku przyrodniczym i w Sodalicii Mariańskiej. Od 10 listopada 1917 roku należał do I zastępu I Zakopiańskiej Drużyny Skautowej im. ks. Józefa Poniatowskiego. 8 czerwca 1918 roku zdał egzamin na I stopień skautowy.

W niedzielę 7 września 1919 roku wybrał się z kolegą na pierwszą wysokogórską wyprawę w Tatry. Wspinając się granią od Zawratowej Turni ku Mylnej Przełęczy oderwał się wraz z blokiem skalnym luźno leżącym na grani, spadając ok. 120 metrów na piargi pod Zawratową Turnią ku dolinie Zmarzłego Stawu. Śmierć poniósł na miejscu.

Ojciec Tadeusza zmarł 4 lata później i pochowany został obok syna. Pani Kuhnowa po śmierci syna ufundowała stypendium jego imienia dla ucznia – harcerza zakopiańskiego gimnazjum. Opiekowała się też drużyną harcerską, dostarczając pięknie haftowane parzenice góralskie z lilijką harcerską. Były one noszone na lewym rękawie munduru, zarówno w męskiej jak i żeńskiej drużynie.

Tragedii państwa Kuhnów poświęcił wspomnienie Stefan Żeromski w noweli *Złe spojrzenie*, która ukazała się w 1920 roku w czerwcowym numerze miesięcznika „Nowy Przegląd Literatury Sztu-

ki” a następnie została przedrukowana w 7 odcinkach w „Kurjerze Lwowskim”. Opowiada ona o ojcu, który straciwszy syna, widuje często przed swymi oknami na ulicy, niewidomego mężczyznę prowadzonego przez syna, młodego skauta. Patrzy na tych dwoje z zawiścią:

– I cóż z tego, że jesteś ślepy? – myśli o niewidomy. – Idziesz z nim, jakby ze swemi własnymi oczami. Widzisz przez niego. [...] Ramienia twego dotyka ramię cudze, a zarazem własne, jakby wieczność potę-



Nagrobek Tadeusza Kuhna na cmentarzu zakopiańskim, fot. Witold Osiński, 2014 r.

ga. [...] Jesteście dwiema istotami w jednej. Jesteście cudem natury. Tak oto ty ślepy, jesteś panem nad pany, królem nad króle. A ja? Ze mnie wydarte jest wszystko, przestrzeń i czas, światło i zmrok, sen i czuwanie.

I patrząc tak złymi oczami na tych dwu, niejako prowokuje przyszłe wypadki. Pewnego dnia spotyka na drodze skauta, wiozącego ciało kolegi. To właśnie syn niewidomego ojca zginął spadając ze skał w górach. W ten sposób owo złe, zawistne spojrzenie jakby wywołało klęskę tego drugiego ojca, niešťczęśliwego kaleki.

Stefan Źeromski, przeszło rok przed wypadkiem Tadeusza Kuhna, stracił swego ukochanego syna Adasia, zmarłego na gruźlicę. Adam był uczniem gimnazjum zakopiańskiego i skautem, wyróżnionym przez drużynowego Andrzeja Małkowskiego dyplomem „Złotego skauta”. Juź po śmierci syna, Źeromski w latach 1918–19 zamieszkał w Zakopanem w wili „Czerwony Dwór” przy ul. Kasprusie, naprzeciwko domu państwa Kuhnów. Nowela *Złe spojrzenie* jest jakby dalszym ciągiem książki

O Adamie Źeromskim wspomnienie, wydanej nakładem autora w 1919 roku. ■

L. Dall

Źródła: Archiwum TOPR w Zakopanem: Księga wypraw TOPR, t. I, 1909–1936; Archiwum Muzeum Harcerskiego im. Olgi i Andrzeja Małkowskich w Zakopanem: *Ewidencja członków I Drużyny skautowej im. ks. Józefa Poniatowskiego w Zakopanem [1917–1918]*; *Tragiczna śmierć studenta gimn. w Tatrach*, „Ilustrowany Kurjer Codzienny” nr 247, 9 IX 1919; Jan Dürr, *Treny Źeromskiego*, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr 104, 16 IV 1934, s. II, III; Konstanty Stecki, senior, *Tadzio Kuhn w nowelce Źeromskiego* [w:] *Wspomnienia zakopiańskie, (1910–1923)*, Kraków 1973, s. 71–76; Włodzimierz Wnuk, *Rwał się ku szczytom i padł ich ofiarą*, [w:] *Moje Podhale, Ku Tatrom*, Warszawa 1976, s. 210–214; Maciej Pinkwart, Janusz Zdebski, *Nowy Cmentarz w Zakopanem. Przewodnik biograficzny*, Warszawa–Kraków 1988 s. 76; *Księga gór i budowli Macieja Mischke*, Kraków 2009, s. 54–55; Stefan Makowiecki, *Ze stepu w Tatry*, Kraków 1979, s. 144; Ryszard Mazur, *Stefan Źeromski o harcerstwie*, Kielce 1994, s. 18, 21.

Stefan Źeromski

ZŁE SPOJRZENIE

...*Za wieczny niepowrót zmarłych,
Za konających bezsilność...*
Julian Tuwim, „Litania”

Przeżycie wewnętrzne, które ma być tutaj uprzytomnione, zdarzyło się w półtora roku mniej więcej po śmierci dziewiętnastoletniego młodzieńca, syna doktora Zenona Ł., prowincjonalnego lekarza w środkowej „Galicji”. Zmarły był dynakiem. Zgwał w ciągu krótkiego czasu na galopujące suchoty. Na nic się nie zdała wiedza ojca. Jego znakomitych kolegów i przyjaciół, wszelkie ich wysiłki, zabiegi i środki zaradcze. Po śmierci syna doktor Ł. pozostał w tym samym miejscu i w tym samym domu. Po dawnemu leczył pacjentów i przykładał się wśród swego otoczenia do spełniania różnych obowiązków społecznych. Sąsiedzi wzdychali przelotnie, patrząc na niego, i mrużyli oczy z tak zwanym współczuciem, którego, po prawdzie, nikt nie czuł i czuć nie mógł. Potem i to ustało. Zapomnieli. Któż bowiem i jakim sposobem może mieć wiadomość o istocie niedoli cudzej, zwłaszcza wewnętrznej?

Ludzie nowi, przyjezdni, którym zdarzyło się zawierać znajomość z najbardziej wziętym z lekarzy tej środkowogalicyskiej Abdery, z „nadzwyczajnym diagnostą”, nie domyślali się wcale, że ów tęgi, spokojny, przenikliwy, przyjemny i wykwintny człowiek – jak mówiono „gentleman w każdym calu” – miał niedawno tak ciężkie przejście. Sam doktor Zenon mocował się ze swoją klęską, jak na mądrego mężczyznę i świadomego lekarza przystało. Wiedział, że jego przebita dusza nie może na ziemi znaleźć przyjaciela. Można by powiedzieć, że pierwszy okres po śmierci syna zniósł lepiej niż okresy późniejsze. W miarę oddalenia od tamtych wyraźnych chwil coś psuło się coraz bardziej w zegarze wytrwania. Przede wszystkim – co do pracy lekarskiej. Tuż po katastrofie doktor Zenon za pomocą tej właśnie praktyki „ubijał” swą boleść, przydeptywał ją szybkimi, dalekimi marszami do chorych. Znieczulał się pracą jak chloroformem. Nie zostawiał sobie wolnego czasu na obcowanie oko w oko z nagim uczuciem. Mówiąc w najgłębszym już sekrecie, obrazami srogich ludzkich cierpień opijał się jakoby winem tęgim i uodporniał jak spirytusem. Patrzał dzień w dzień, a częstokroć w ciągu długich nocy, na udowodnienia i unaocznienia, że nie on jeden jest skazańcom. Przesiadywał u wezłowania chorych dzieci ponad wszelką normę i miarę, juź nie jako lekarz, lecz jak pielęgniarz. Wydobywał z objęć śmierci głowy płonące od ogniów gorączki i powracał uśmiechy na twarze udęczo-

ne. Gdy ojcowie i matki witali jego zjawienie się łzami radości, a żegnali je błogosławieństwem, on sam szedł wśród tych objawów gnuśny w sobie, zaledwie postrzegając, czego w istocie dokonał. Ten szczególny nastrój uczynił zeń znakomitego lekarza. Nie żywych ludzi leczył ten pielęgniarz, filantrop i dobroczyńca, lecz mocował się z samymi chorobami. Ściagał je w kryjówkach i niedosiętych pieczarach bytowania, zupełnie jak gdyby polował na tajemnicze potwory, byty okrutne i straszliwe w swej strukturze sekretnej, wymykającej się spod objęcia przenikliwości ludzkiego rozumu.

Zagadkowe stwory przyrody: tyfus plamisty, szkarlatyna, ospa, nosaczna, gruźlica i tak nieskończony szereg innych Pociągały go teraz nie tak jak dawniej. W głuchoniemej pasji swej mścił się teraz na nich, wyrwał je z dziupli i skrytek, chwycił w pól drogi, umiał w lot poznać się na ich planach, wybiegach, narowach i zdradzieckich przyczajeniach, na ich podspodnim życiu, splecionym z krwią, kośćmi i mięśniami człowieka, a tak nieublaganie wrogim tej krwi, kościom i mięśniom. Tak to wytrwale i niemal bez chwili przerwy pracując z wyczerpaniem wszystkiego rozumu, pamięci, czujności, zdobytej i wciąż przez studia pomnażanej wiedzy, operując myślą ćwiczoną i nieomylnie dokładną – doktor Zenon, sam na sam zostając ze sobą, ocknąwszy się ze snu w nocy, idąc w dal i powracając do punktu wyjścia, nie mógł znaleźć przedmiotu czy tematu, o którym by mógł myśleć. Jego własna,

istotna, niejako wewnętrzna myśl ześlizgiwała się ze wszystkich rzeczy tego świata i ze wszelkich pojęć napełniających świat wewnętrzny. Zaprawdę – ten tak rozumny człowiek – nie mógł o niczym myśleć. Wszystkie myśli zlatywały w otchłań czasu i niosły się w przestrzeni. Miesiąc jest taki a taki, dzień taki a taki w miesiącu, upłynęło tyle a tyle miesięcy, tyle dni – oto były istotne, wewnętrzne myśli. Trzeba dziś lub nazajutrz iść w takim a takim kierunku, do takich oto ludzi, a raczej do nazwisk wypisanych w lekarskim karnecie – oto była wszystka wewnętrzna wola. I tak oto – jako współnicy drogi życia – stowarzyszył się z osierociałym jedynym towarzysz – pustym czas – i jedyną towarzyszką – jałową przestrzeń.

Wszystko zaś inne było obojętną i obcą miazgą przydarzeń.

Przeczytawszy w pewnej książce, iż Perykles ateński zniósł bez żałoby śmierć dwu swych świętnych synów, doktor Zenon doświadczył wzburzenia wewnętrznego, jak gdyby osobistej insultacji, a nawet zniewagi. „Cóżem ja jest za człowiek?” – z pogardą zapytywał samego siebie. Wnet jednak, zjawiała się usłużna refleksja:

– Ba! Gdzież jest pewność, że ów Perykles czuł śmierć swych synów, skoro ją zniósł bez żałoby? Może dlatego zniósł śmierć synów bez żałoby, ponieważ wcale ich nie żałował. Może był człowiekiem-drewnem, twardym pniakiem bukowym, którego żadnym sposobem nie ima się zgnilość uczucia, gdyż jego cały skład wewnętrzny aż do rdzenia jest bukowy. Toż według świadectwa Shelleya, stary „ojciec” Cenci modlił się żarliwie, szczerze i z uniesieniem, ażeby Bóg poraził śmiercią dwu jego synów. Nie jest jednolity, jak u zwierząt, lecz jest wieloraki, złożony i zagadkowy gatunek ojca w rodzaju ludzkim”.

O pewnej późnej nocy, gdy zbudzony ze snu szedł do chorego dziecka z nieszczęśliwym ojcem, który obok niego dreptał, pogadując, wdzięcząc się, a po tysiackroć przepaszając, akomodując się i zalecając, żeby „znakomitego diagnostę” dobrze usposobić, doktor Zenon poczuł w sobie ostre nadpęknięcie. Ziąb i dreszcz nie w ciele, lecz w głębi duszy. Śmiech gruby w głębi. Szli na dalekie przedmieście przez puste pola, śniegiem zasłane, przez pagór garbaty i przykry. Buty doktora przemokły, zmoczone w śniegu zakończenia spodni wilgotną masą chlapały dookoła zziębniętych kostek. Brnąc w ciemności z zagona na zagon doktor zagadnął współtowarzysza:

– Jak się też panu wydaje, czy czas naprawdę istnieje? Bo ja...

– Albo przestrzeń? Jak pan sądzi?

Stroskany ojciec, zajęty jedyną myślą, żeby jak najprędzej i jak najpomyślniej dostawić lekarza do łóżka swej chorej dziewczynki, coś tam wymiamał. Nie o odpowiedź chodziło...

– Mnie się wydaje – perorował doktor – że mają słuszność Indusi nauczając, a teraz w tej ciemności szczególnie wyraźnie to zo-

baczyłem, iż czas jest to w gruncie rzeczy tylko porządek następstwa w naszym poznaniu rzeczy na świecie. A znowu sławiona przestrzeń – to nie co innego, tylko kierunek ustawienia przedmiotów tej ziemi. Jedno i drugie nie są to wcale jakoweś zewnętrzne trwania, lecz dwa sposoby ujęcia tego, co my, biedne kretyny, wiemy o otoczeniu.

Towarzysz drogi potakiwał z zapalem, wiarą i entuzjazmem:

– Skoro pan doktor przyszedł do takiego przekonania, a, w takim razie...

– Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość – to przywykliby nazywać wyrazem „czas”, a potem powiedzieliśmy sobie, że on trwa jako byt samoistny. Jest to po prostu pusta idea, nazwa bez rzeczy. Tu, tam, w tamtym kierunku – to znowu przestrzeń. A wszakże to, co nazywamy czasem, w naszym odczuwaniu rozszerza się albo kurczy, staje się nieskończonością albo się unicestwia, jeżeli je mierzyć miarą radości albo miarą bóleści. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość – a jedno w drugie wchodzi jak linia zwinięta w punkt geometryczny, staje się nicością jak mgnienie oka.

– Pan doktor doskonale to przedstawia...

– I wielki myśliciel niemiecki, po swojemu rozumując, powiada, iż sam w sobie, poza przedmiotami czas jest niczym. Jest to, według niego, podmiotowy warunek naszego zmysłowego rzutu myśli. A przestrzeń? To, co nazywamy przestrzenią, jest jedynie formą wyobrażeń naszej zmysłowości, w których mieszczą się przedmioty zewnętrzne. Lecz ta forma przedmiotów, jako istota, poznać się nie daje i poznana być nie może. Czy człowiek ślepy ma wyobrażenie przestrzeni? Czy głusi, ślepi, daltoniści, neurasteni-

cy, a także nieszczęśliwi, przyswajają sobie zjawiska w sposób przyrodzony każdemu przedmiotowi, w postrzeganiu powszechnym ludzi zdrowych i normalnie obojętnych?

Zeszli parowem ku przedmieściu i mijali chałupę, gdzie o tej tak późnej nocy rznąła siarczyste muzyka i rozlegały się wściekle tupania, śpiewy i wrzaski. Zdawało się mijającym, że te weselne wyrwy wysiępią belki z węglów, a hołubce wyrzucą ciężki dach z więzania.

– O, Boże mój! Ci ludzie teraz tańczą i tak się weselą... – szepnął ojciec chorego dziecka mijając tę budę radości.

– Jakże jesteś szczęśliwy... – odpowiedział mu doktor w myśli. – Na progu dopiero stoisz, skoro cię takie przeciwieństwo dotyka i uraża. Nie wiesz ty, bracie, co znaczy za życia, chodząc po ziemi, leżąc w grobie, gdzie już wszystko jest tożsamością, gdzie już nie ma przestrzeni i gdzie już czasu wcale nie ma.

W trakcie operacji, które prowincjonalnemu lekarzowi wypadało dokonywać w najtrudniejszych zazwyczaj warunkach, samemu, kędyś w domostwach odległych, bez narzędzi i środków pomocniczych – w ciężkich wypadkach, gdy trzeba było zwalczać chorobę, wyrastającą z brudu, nędzy, wszy i zaduchu – przy barłogach na poły zgnitych wśród szmat zetlałych od lepkiego potu – dobie najtrudniejszych rokowań i decyzji, skoro przyszło ważyć się na środki i przedsięwzięcia ostateczne, doktor Zenon odwoływał się do pomocy swego „asystenta”, niewidzialnego współpracownika, zgasłego syna. W owych ostatecznych chwilach – na wezwanie modlitewne, na westchnienie z samej głębi trzewiów i jestestwa, jakby na skutek rozpęknięcia się serca – zawsze przybywał



Ilustracja z książki: M. Rokosz, L. Dall, *Harcerstwo zakopiańskie w latach 1913–1945*, Zakopane 2013, *Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach Muzeum Tatrzańskiego. Drużyna skautów zakopiańskich z Karolem Pawlusiem na czele przed „Dworcem Tatrzańskim”, 3 VIII 1913 r.* – zbiory Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem

niewidzialny. Samego nie było ani widać, ani słycać, ani czuć, ani można dotknąć, ani niczym zewnętrznym czy wewnętrznym objąć – a przecie objawiał się w czynnej pomocy, w tajemnicy współdziałania. Utwierdzał lub osłabiał powziętą myśl mocno i nieodwołalnie rozstrzygał decyzję, niemal podsuwał i prawie kierował narzędzie. A wówczas nigdy nie chybiła ręka i nie wzięło złego skutku zarządzenie. Niewidzialne synowskie dłonie odganiały wszy, gdy wypadło w mroku ludzkiej jaskini, rozświetlonej płomyczkiem naftowej lampki, siadać na tapczanie nędzarza z tyfusem plamistym, a rozpalonego ciała i pościeli z gałganów dotykać rękoma, ubraniami i włosami. Niewidzialna synowska twarz zasłaniała od zarażonych płwocin, od jadu pryszczów i krost, charknięć i kałów. Coś, jakoby święta rękawiczka, okrywało rękę, badającą zaraźliwe choroby. Doktor Zenon bardzo rzadko odwoływał się do swego anioła. Ilekroć miał to uczynić w ostatecznej rozterce, wśród trwogi człowieka przed wyratowaniem życia lub porzuceniem nędzarza w konaniu, serce w nim zdawało się umierać. Wiedział, że odrywa swego syna od jakichś prac innych, niedosiętych i niepojętych dla ziemskiego rozumu, że go przymusza do powrotu na ten padół, gdzie młodociane jego ciało tyle przecierpiało, a dusza przeżyła smutek tak straszliwy. Poczytywał te swoje modlitwy przywołujące za grzeszny egoizm, za nadużycie świętości, prawdziwie za świętokradztwo. Lecz w ciągu owych przelotnych chwil, tak niewymownie krótkich jak złożenie i rozłożenie skrzydeł motyla, czuł w sobie dawne swe szczęście. Śniło mu się na jawie, że znowu są razem, że dokądś idą ramię w ramię i radzą o swych własnych zagadnieniach, o sprawach powszechnych lub domowych, Uczucie miłości stawało znowu w piersi puściej, jak wówczas jakiegoś w zimie dnia, gdy szli szeroką drogą podczas srogiej zamieci i zasłaniali się nawzajem od wichru i śniegu, bijącego w oczy, a ograniczała ich ta sama, we dwu ciałach palająca miłość. Gdy było rozezwierać oczy – pustka znowu była i cisza. Świadomość znowu była opleciona zwątpieniem. I głęboka, głęboka wewnątrz rana.

Z okna doktorskiego mieszkania, z okna tego „gabinetu”, gdzie przyjmował chorych w godzinach popołudniowych, widać było na rozległości widnokregu dwa łagodnie wzgórze, zstępujące niepostrzeżenie zboczami w rozległą dolinę. Na jednej z tych pochyłości stała kępa wyniosłych drzew. Podczas „ordynacji”, między jedną poradą a drugą, doktor Zenon spędzał zazwyczaj nieco czasu przy oknie niby to zastygając chwili wytchnienia. Wpatrywał się wówczas w swój widok, tak mu znany. Nie była to martwa ziemia, lecz kształt widomy wszystkich bez wyjątku przeżyć. Ów skrawek gruntu wszystko wiedział. Nasycony był spojrzeniami boleści od samego początku strasznej choroby, poprzez agonię i śmierć aż do ostatnich, pustych chwil. Gdyby jakaś niepojęta siła zdołała ścisnąć owe dwa wzgórze, rzeka łez

popłynęłaby z nich w cichą dolinę. W tę to dolinę zniżało się o zachodzie słońce. Kępa drzew rzucała wówczas długi cień. Między dwie pochylnie pagórków zdawał się iść w ślad za słońcem ostatni wygon ziemski, żłobowina jedynej drogi z tego na tamten świat. I wciąż to samo, zawsze jednakie a nigdy nierozstrzygnięte pytanie szło w tę drogę pod cieniem samotnych drzew, z tego na tamten świat:

– Gdzie jesteś? Kto cię teraz przyciska do serca? Czyli twój tam pobyt jest tylko snem tak nieskończonym, iż spłynął w małość



Ręcznie haftowana parzenica góralska z lilijką, zbiory Muzeum Harcerskiego w Zakopanem

nieskończoną, jak linia w punkt geometrów, leżący sobie samym, bez miejsca bytu i wymiaru wzdłuż i wszerz? A przecie do mnie przychodzisz! Jakimże sposobem dowiadujesz się, że cię wołam? Skąd przychodzisz? Czyli twój tam pobyt jest służbą niewiadomą, niepojętą i na wieki tajemną? Komu służysz? Co przedsięwiesz? Jakie masz do wykonania prace? Czyli mnie jednemu nie możesz powierzyć tej tajemnicy jakimś znakiem, snem, objawieniem? Ja sekretu nie zdradzę! Będę go strzegł jak źrenicy oka! Umrę z nimi Przeczysty skaucie, przeczysty duchem i ciałem, nie skalany brudem ziemi, czyli tam jesteś także skautem w zastępach Boga? Czy ci tam ziemi i tutejszych prac – żał? Czy ci tam lepiej niż tu?

Myśli bezsłowne na podobieństwo łez, wypływających samowolnie z oka, wypływały z człowieczej nędzy, zanosili się w daleki ów widok na horyzoncie i spływały samochcąc w przedwieczne słowa psalmu: „Oświeć oczy moje”...

Tuż przed domem, po drugiej stronie drogi, rozciągała się uprawna łączka, prostokąt starannie przez właściciela ogrodzony

– a nieco dalej, w głębi, stał dom parterowy, drewniany, z gankiem, typowy dworek na przedmieściu prowincjonalnego miasta. W dworku tym mieszkała rodzina nie znana doktorowi osobiście, gdyż nikt z tej rodziny nie zasięgał jego porady lekarskiej, lecz od dawien dawna znana mu z mimowolnego sąsiedzkiego podpatrzenia. Ojciec w tej rodzinie, jakiś ongi urzędnik, stracił był wzrok i jako zupełny inwalida pozostawał na opiece żony, kobiety niezmiernej pracy, zapobiegliwości i nieustającego poświęcenia. Trzecią w tej rodzinie osobą był syn, jedynek, wyrostek lat siedemnastu czy osiemnastu, uczeń gimnazjalny, prymus w szkole i „pociecha tudzież cała nadzieja”. Czwartą istotą żyjącą w niskim domku za drogą był pies Dunaj, taks długi, niski, na typowo koślawych nogach, do którego nazwa wspaniałej rzeki pasowała jak pięść do nosa. Prymus Antoś i niski Dunaj żyli w stałej kompanii i nieustającym dotrzymywaniu sobie towarzysystwa. Doktor Zenon. Ł. nie spoglądając na zegar mógł oznaczyć godzinę, skoro zobaczył Dunaja wystającego na drodze, wężącego z przejściem powietrze, z niecierpliwym ziewaniem, przestępywaniem z nogi na nogę, a nie bez zawziętego drapania ziemi pazurami. Znaczyło to, że Antoś już w podskokach nadciąga na obiad, że tam już gdzieś w oddali, na kamieniach podmiejskiej drogi, zgrzytają jego buty grubo podkute gwoździami. Rodzina niewidomego sąsiada nie mogła sobie pozwolić na luksus utrzymywania służącej. Całą pracę domową, w kuchni i mieszkalnych pokojach spełniała matka Antosia, przy czynnej i wydanej jego pomocy. Ten duży, tegi, muskularny, doskonale zbudowany i znakomicie wygimnastykowany młokos nosił wodę do kuchni, rąbał drwa, zamiatał pokoje, ogarniał w zimie śnieg; czyścił ubrania i buty, skrobał kartofle i biegł z koszem po sprawunki do sklepów. Nieraz przyszło mu przełknąć gorzką drwinę z ust innych młodych pokojówek i kucharek wśród śmiechu za nim rzuconą, gdy gwał do magła ze stołem bielizny, albo pchał na wózek wózek z kartoflami. Puszczając to jednak mimo uszu, jak zresztą wiele innych ludzkich opinii. Był to Antoś śpiewający. Wszystko robił śpiewając i podskakując. Można by powiedzieć, że ten młody człowiek pędził życie w przysudy, a wszelkie czynności życiowe traktował, jako nieuniknione przerwy między jedną piosenką a drugą. Te rozmaite śpiewaki zdawały się nosić go po świecie, jak skrzydła nosza ptaka. Wszystko załatwiał z wiatrem w przegony. Gdy z wiadrami pełnym wody ze studni sąsiada pędził poprzez łączkę, zdawać się było mogło, że w kuchni jego rodziców wynikł groźny pożar i że on go właśnie dzielnie tłumi. Gdy szedł do szkoły, przestrzeń znikła mu z pod podkutyh obcasów i poddeszwn nabitych gwoździami tak raptownie, iż szybkości jego kroków sam Dunaj żadną miarą nadążyć nie mógł. Nieraz doktor Zenon słyszał okrzyk matki Antosia, witający

powracającego ze sprawunkami: – Już jesteś! Dopiero wyszedł, już jest z powrotem! Moje dziecko, nie łachaj tak, przecie buty...

Następowały wymowne apostrofy co do butów, strasznych cen zelówek, zestawienia cen dawnych, nowych i tym podobne litanie mizerji ludzkiej. Mało to wszakże skutkowało. Buty w istocie łachały się na mniemanych brukach podmiejskich w sposób złowieszczy. Sprawność i sprężystość Antosia, nade wszystko ujawniała się podczas zbiórek zastępu skautowskich „Wilków”, do którego należała cała niemal jego klasa.

W jesieni, w zimie, wczesną wiosną; nim właściciel łąki obwieścił, że nie wolno deptać wiosennej murawy, na tej małej przestrzeni odbywały się harce, manewry, parady, rewje, defilady; tudzież zwyczajne, pozafrontowe skoki, tańce; łamańce; gonitwy i igrzyska tego grona młodzieży. Mogło się wówczas zdawać, że jesienna gruda, albo miazga jałowa w przedwiośnie splechotka gruntu z łona swego wyrzuciła nagle zastęp szczególnych kwiatów. Kapelusze z dużymi rondami, zielone chustki na szyjach, wielobarwne wstążki u ramion, brązowe ubrania i jasne łaski migały w oczach widza, jak wielobarwna kwietna rabata. Oczy widza cofały się pod powieki, albowiem w tym zespole nie mógł dopatrzeć się swojego kwiatu. Nigdyś hasał tu, jako najpiękniejsza latorośl. Nadmierne „czuwania” po nocach, zbyt gorliwe pochody ze zbyt wielkimi ciężarami na ramionach, spoczynki w polach na mokrej ziemi, czatowanie w wilgotnych rowach przyczyniły się w niemalej mierze...

To też oczy doktora uciekały pod powieki od widoku skautów i ich manewrów. Lecz krzyk ich komendy, trąbki, śpiewy docierały wszędzie gdziekolwiek się skrył przed ich bolesnym – niestety – widokiem. Na wiosnę już właściciel łączki nie pozwalał nikomu nogą stąpić na rozkwitający kobierzec kwiatów żywych. Uprawiał starannie swoją murawę toamsyną, bronował ją pilnie i polewał czasu suszy. To też rodziła mu trawy przebuje i kwiaty nieznanne, niewidziane w tych stronach. Soczyste, wielkie kule koniczyny nasycaly wszystek przestwór jasnej zieleni swoim radosnym kolorem, wyniosłe miodowniki przywabiały do koron swych tysiące pszczół, a smugi błękitnych i białych kwiatów nadawały temu zagajnikowi traw czarujące odcienie. Wówczas nikt już nie maścił stopą wonnej łączki. Szanowali ją wszyscy i tylko oczyma dopuszczali się wypasania bujnych kwietników sąsiada. Z wyjątkiem jednej jedynej niekulturalnej istoty – z wyjątkiem krótkonogiego i obwisłouchego Dunaja. Ten komunista brodził samowolnie wśród najpiękniejszych roślin, zadzierając łeb do góry, gdyż zupełnie ginął w gajach miodowników. Cos tam wąchiwał, żuł, podgryzał; próbował i wypluwał; ćwicząc się, widocznie, w znajomości psiej wiedzy lekarskiej, czy aptekarskiej, na własny jedynie stosowany użytek.

Jedna tylko istota nie czerpała ani jednego kształtu, nie piła oczyma ani jednej barwy z różnobarwnej łączki gospodarza, uboższa w tym względzie od psa Dunaja, uboższa, niż wszystkie pszczoły; trzmielek, muchy i osy. Był to ojciec Antosia. Na ciasnym ganku niskiego domu godzinami, z twarzą zwróconą w stronę łąki, nieruchomy i niemy jak gdyby właśnie pogrążony we wzrokową kontemplację cudnego kwiatów i traw ogrojca. Któż wie? Może słyszał, jak bardzo wysmukłych dzwonek powstają? Może rodzenie się i kształtowanie cudokrzewów, których kielichy pisane są barwami niebios i zorzy porannej, rozpoznawał i czuwał nozdrzemi. Może niewidomym zmysłem, który pociemku w ciełe swym wyszukał urobił i wydoskonalił, zdołał docierać z odległości do zapachów, w dzieciństwie swem za szczęśliwych dni jasnovidzenia na łonie duszy wypastowanych.

Pod małą wystawą dachu zawsze obok ojca kręcił się Antoś w nieodstępnym towarzystwie Dunaja. Doktor Zenon nie słyszał z odległości rozmów ojca z synem. Dolatywały do niego tylko szczątki wyrazów i niewyraźne dźwięki. Antoś ojcu coś tam opisywał w trawach, wskazywał miejsce, ostrożnie i delikatnie stąpając, by ani jednej trawy nie zmaścić. Dotykał w gąszczach centurii w smugach smótek jakowych łodyg i liści.

Gdy mżył majowy, ciepły deszczyk, przepuszczony jakoby przez gęste na wyżynach sito, Antoś w krótkiej pelerynie i Dunaj z wysoko odkręconym ogonem brodzili miedzą w dalekich okolicach łąki. Skaut poprawiał brzożowe witki kółków, podtrzymujące prostackie żerdzie płotka. Przepuszczał zassane wody w pewnych rowkach, odprowa-

dzających wilgoć do głównego rowu. Komuś tam z plemienia kaczeńców czy niezapominajek dopomagał w trudach żywota przy czynnej asyście Duanaja, życzliwie usposobionego dla wszelkich poczynañ swego dużego przyjaciela.

*

W pogodnie dni letnie ojciec Antosia wychodził do miasta. Miał wówczas na sobie kapelusze z szerokimi skrzydłami, archaicznego nieco kształtu lecz świeży, jakby go wczoraj nabyto w modnym magazynie, palto wyczyszczone, buty „wyglancowane” ze skautowską dokładnością i finezją, spodnie zaprasowane według ostatniego przepisu elegancji. Przechodzień, nieświadomy istoty rzeczy, mógłby być poczytywać wyprostowanego starszego pana za dandysa z przedmieścia, który o swą powierzchowność dba aż do przesady. Antoś zawsze prowadził ojca pod ramię. Byli obydwaj już niemal jednego wzrostu. Szli zawsze krokiem miarowym, o czem własnem z cicha rozmawiając, – być może o tych kamieniach których liczba niepoślednia leżała na drodze, – ażeby snąć który z nich nie obraził nogi niewidomego.

Gdy tak pewnego dnia ci dwaj powracali z miasta do domu, doktor Zenon przypatrywał się im się ze swego okna. Wzrok jego wszczepił się w tę parę i przez spojrzenie wysunęło się straszliwe żądło zazdrości. Głowa, jakby głaz lity odwalila się na futrynę okiennej, a wargi szeptały do niewidomego starca:

– I cóż z tego, że jesteś ślepy? I cóż? Idziesz z nim, jakby ze swemi własnymi oczami. Widzisz przez niego. Twoje strupieszale serce ma w sobie drugie serce żywe, młode, niewinne; twórcze i święte. Ręka potężna i tkliwa podtrzymuje każdy twój krok. Ramienia



Ilustracja z książki: M. Rokosz, L. Dall, *Harcerstwo zakopiańskie w latach 1913–1945*, Zakopane 2013, *Popis skautów – budowa mostu na boisku Sokoła w Zakopanem pod kierunkiem Andrzeja Małkowskiego (stoi tyłem w kapeluszu)*, 24 sierpnia 1913 r. – zbiory Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem

twego dotyka ramię cudze, a zarazem własne, jakby wieczność potęga. I cóż, że jesteś ślepy! Przestrzeń dla ciebie znikła i przeistoczyła się na czas, to prawda. Ale, gdy idziesz ramię w ramię z dorastającym synem, przez to jego ramię wraca w ciebie na nowo przestrzeń. Jesteście dwiema istotami w jednej. Jesteście cudem natury. Tak oto ty ślepy, jesteś panem nad pany, królem nad króle. A ja? Ze mnie wydarte jest wszystko, przestrzeń i czas, światło i zmrok, sen i czuwanie. Jestem kamień, który noga wszechmocna kopnęła i odrzuciła z drogi, żebym wam nie zawadzał w przechadzkach pod słońcem. Cóżem jest? Nawet nie nicosi!

Gdy nadeszła pierwsza rocznica śmierci syna, doktor Zenon zamówił w parafii żałobne nabożeństwo. Ale proboszcz był chory i terminu nabożeństwa nie można było na razie ustalić. Koledzy zmarłego chcieli uczestniczyć w tem nabożnym wspomnieniu to też zajmowali się szczegółowo kwestią daty. Pewnego dnia doktor Zenon, posłyszawszy, iż ktoś stuka do drzwi wejściowych mieszkania, poszedł otworzyć. Zobaczył na progu Antosia, syna niewidomego sąsiada. W swem skautowskim ubraniu, wyprostowany młodzieniec ów trzymał list od proboszcza. Uśmiech nieopisanej piękności, w którym zawarte było wszystko, stał na wargach młodzieńca, kiedy ów list podawał. Gdyby ten uśmiech można było cudownym sposobem zdjąć z warg jego ludzkich i utrwalić w zewnętrzności byłby to najwyraźniejszy dokument bytowania ducha wiecznego. W liście było zaproszenie na nabożeństwo.

Wkrótce potem nadeszła pierwsza po zgonie rocznica urodzin zgasłego. I oto znowu starsi i młodszy koledzy, jakby rewanżując się za pierwsze nabożeństwo, które nie z ich inicjatywy zostało odprawione zamówili „swoją” mszę żałobną.

Pewnego dnia ktoś znowu rano zastukał do drzwi doktora Zenona, a gdy on sam je otworzył, zastał na progu znowu Antosia, syna ślepego sąsiada. Jak za pierwszym razem, tak samo teraz skaut z tym samym cudnym uśmiechem podał doktorowi list z zaproszeniem na nabożeństwo.

*

Mało-wiele upłynęło czasu od tych nic nie znaczących i nic nie mówiących wypadków, – od brzmienia tonu organów i ponurego ich śpiewu, w którym się słowo Boga straszliwego objawia.

Pewnego dnia, brnąc swemi codziennymi ścieżkami od chorego do chorego, doktor Zenon zaskoczony został w pół drogi przez młodzieńca w skautowskim przyodziewku, poszarpanym i poplamionym. Drżąc, szlochając, płacząc jedne rzeczy z drugimi; zdruzgotany i błądzący chłopiec zawiadamiał, iż wiezie na wozie, wynajętym w górach, zwłoki kolegi; który spadł ze szczytu w Tatrach podczas wycieczki paru skautów. Kolega zabitego nie miał odwagi zawiadomić rodziców.

Pytał doktora, jakby to zrobić? Tem bardziej, że ojciec ofiary jest ślepy... Dokór Zenon zachwiał się na nogach. Pobiegł drogą wskazaną mu przez młokosa. Szli zosą, co tchu parę wiorst w górę za miasto. Ukazał się wreszcie wóz drabiniasty, zaprzężony w jedną szkapinę, która przez pół dnia i całą noc ciągnęła od gór w małopolskie niziny smutny ów ciężar. Doktor odrzucił płachtę, okrywającą skrzwione zwłoki. Zobaczył Antosia, a raczej potargane, zmiążdżone i roztrzępane zwłoki. – Zdziwił go jedynie uśmiech niebiański, ocalały na resztkę twarzy.

– Gończe mój, gończe!... – wyszeptał lekarz z załamanymi rękoma, z oczami zasłanymi łzami. – Któż to ciebie dwukrotnie do mnie przysłał? Kto cię przysłał?

Ale święty uśmiech młodzieńczy, do tamtego należącego świata, na pytanie to nie dał odpowiedzi. Na wieki został sobą, zawarłszy tajemnicę.

W wysokich górach, które przed niezliczonymi setkami lat moc niepojęta dla ludzkiego umysłu zdala przyniosła i osadziła na głębiach wyłonionych z morza, – w górach, które stały kilkanaście tysięcy lat w wichrach szalonych i w cichej niebios pogodzie – czekał tajemniczy sprawca na lekkomyślne ręce Antosia. Czatował przez nieprzejrzany ów ocean czasu, aż junak samotny, gnany przez pasję i męstwo młodości, wedrże się na szczyt strzelisty i potężnymi rękoma chwyci za skrzyżłał najwyższego cypla. Tam właśnie czekał nieśmiertelny wróg. Z wieku na wiek podkruszał granit od spodu, zlewał go potopem deszczu i mroził szronami zimy, aż go skruszył i w podatną ruchomą bryłę zamienił. Gdy jej się uchwyciły ręce Antosia, wraz z nim runęła z wysokości stu metrów. Zabiła go, lejąc poprzez powietrze, rozszarpała go, rozgniotła po stokroć i napoiła się krwią, wylaną aż do kropli ostatniej ze wszystkich jego żył. Połamała mu raz, drugi, trzeci i dziesiąty sprężyste golenie i silne przedramiona, rozdarła gardziel, wyrwała z niej i przepłoszyła piękne, bujne piosenki, któremi chwalił rozkosz bytowania.

*

Doktor Zenon – jak wiadomo – mieszkał w tej samej części miasta, co rodzice zabitego Antosia. Niezależnie od prośby skauta, jemu to, jako lekarzowi wypadało właściwie iść z powiadomieniem o wypadku do domostwa tych ludzi. Ale doktor zatrwożył się w sobie. Nie miał siły być posłańcem do tych dwojga od ich Antosia. Tchórzowsko tedy, nie patrząc w stronę małego domu niewidomego sąsiada wrócił do swego mieszkania i zajął się swemi sprawami. Tego dnia i następnych dni nie spoglądał w tamtą stronę. Nie patrzył nawet na zachód słońca gdy zorza rozpościęła się zwolna między dwoma wzgórzami.

Ale na trzeci, czy czwarty dzień, przypadkowo wyjrawszy oknem, zobaczył jednak ślepego człowieka i jego żonę. W tych samych ubraniach, tylko czarnymi paskami krepy przybranych, szli skądś do domu.

Żona prowadziła pod ramię niewidomego. On szedł, jak zawsze, wyprostowany, sztywny, zimny. Jej twarzy – na szczęście – nie było widać pod gęstym, czarnym z krepki woalem. Patrząc na nich doktor myślał:

– Dowiadujecie się, sieroty, prawdy o rzeczach zewnętrznych i rzeczach wewnętrznych, o Bogu i swojej własnej istocie. Tak, tak! Twarde są kamienie naszej drogi...

Dwoje tych ludzi skręciło z gościńca na ścieżkę prowadzącą do ich siedziby. Kobieta znikła w głębi domostwa, a niewidomy, jak przyszedł z miasta; tak usiadł na ławce ganku w kapeluszu i paltocie, z laską w ręku. Patrzył niewidzącymi źrenicami na tę łączkę, skąd przed kilkoma jeszcze dniami słyszał było śpiew jego chłopca, albo zdrowy jego głos. Stary człowiek siedział tak długo w milczeniu w nieruchomości jakby zastygł, czy skamieniał. Nie wiedział iż podpatrują go czyjeś oczy, że czyjeś spojrzenia mierzą i wagą jego uczucia.

Doktor, jak zazwyczaj, oparty o futrynę okna; nie mógł odejść z tego miejsca. Kilkakroć wyciągał rękę do nieruchomego starca, ale ta ręka opadała wzdłuż ciała. Kilkakroć czuł w piersiach podnoszący się krzyk, ale nie mógł go wydać. Czemu miał przerwać ciszę przepaści, w której przebywała tamta dusza? I cóż z tego, gdyby u kolan mu wyznał:

– Najadłem się i napiłem widokiem twoim w głodzie moim i straszną stała mi się ulga moja.

Miałże mu opowiedzieć historię swego złego spojrzenia?

Mały pies Dunaj wybiegł na ścieżkę z niemego domu na drogę i ze łbem zwróconym w stronę miasta, ku drodze kamienistej, wachał powietrze, przestępował z nogi na nogę, drapał ziemię pazurami. Pobiegł do domu i znowu wrócił za chwilę, żeby czynić to samo. Tak z dziesięć razy... Wreszcie uczuł śnać zwierzęcą swą wiedzą tajemną istotę rzeczy. Wydało się, iż jego łeb chwycił paraliz, szyja mu się wyciągnęła w górę i pies zagnał zawył przejmująco, żałośnie. Posłyszawszy ten głos, ślepy człowiek ruszył się, zatrząsnął, zakolysał; zatrzepotał. Ręce jego rzuciły się w przestrzeń, szarpać poczęły zarost i raz w raz plaskać w pustej próżni. Głos straszliwy, nie podobny do żadnego z krzyków ludzkich wybiegł z jego piersi. Nikt wokół nie poruszył się od tego głosu, nikt nie przyszedł z pomocą lub pytaniem – ani żona, ani lekarz; ukrywający pod powiekami spojrzenie swoje. Tylko pies przejęty tęsknotą, zawył do wtóru.

*

Źródło: S. Żeromski, *Złe spojrzenie*, „Kurjer Lwowski”, Lwów, 3 lipca 1920, cz. 1, nr 162, s. 2; 5 lipca 1920, cz. 2, nr 164, s. 2; 9 lipca 1920, cz. 3, nr 167, s. 2; 12 lipca 1920, cz. 4, nr 170, s. 2; 19 lipca 1920, cz. 5, nr 176, s. 2; 22 lipca 1920, cz. 6, nr 1178, s. 2; cz. 7, 26 lipca 1920, nr 182, s. 2.

OŚRODEK KSZTAŁCENIA STARSZYZNY HARCERSKIEJ W GÓRKACH WIELKICH

Fundacja im. Zofii Kossak zwróciła uwagę za pośrednictwem książki: *Aby przypomnieć zapomniane* na zły stan zachowania dawnego Ośrodka Kształcenia Starszyny Harcerskiej w Górkach Wielkich na Śląsku Cieszyńskim. Szkoła harcerska, wybudowana dzięki wsparciu Michała Grażyńskiego – wojewody Śląskiego, działająca do września 1939 roku obecnie niszczeje. Obiekt składający się z trzech budynków: domu ogólnego, domu kursów i domu zuchów zaprojektował w 1936 roku architekt Bogdan Laszczyński.

W odległości kilku kilometrów znajdowała się Szkoła Kształcenia Instruktorów Harcerskich na Buczu oraz Szkoła Instruktorów Zuchowych Głównej Kwatery Harcerzy w Nierodzimiu. Najbardziej na zachód znajdowała się Szkoła Szybownicowa na górze Chełm koło Golezowa w której szkolili się harcerze na szybowników. W ośrodku w Górkach Wielkich działał od 1937 roku Uniwersytet Wiejski na Śląsku, który prowadził hm. Józef Kret.

Komendantem w Górkach Wielkich był hm. Aleksander Kamiński, który przeszkolił na kursach dziesiątki harcerzy. Wśród nich był zastęp „Buków” składający się z późniejszych instruktorów Szarych Szeregów, bohaterów „Kamieni na szaniec”. Wybuch wojny zakończył działalność ośrodka. A. Kamiński udał się do Warszawy.

W liście do hm. Janusza Krężela, Janina Kamińska żona Aleksandra tak wspomina swe związki z ośrodkiem w Górkach Wielkich:

Olek skończył uniwersytet w 1928 r. Napisał pracę o Jaćwieży. Mam ją tutaj, ocalała z przygód wojennych, niosłam ją w plecaku z Górek Wielkich pod Skoczowem poprzez Małopolskę, Lubelskie, Kieleckie... Niemcom mówiłam, że mąż mój zginął w czasie

* *Aby przypomnieć zapomniane*, Górki Wielkie 2013; *Aby przypomnieć zapomniane*, Górki Wielkie 2014, wyd. II, zmienione; Strona internetowa administrowana przez fundację: <http://stanicakaminskiego.pl/aby-przypomniec-zapomniane> skąd można pobrać obydwie wydania książki.

wojny, zostawił mi w spadku swoją pracę uniwersytecką. Szłam bowiem bez męża przez Rzeszowskie, Lubelszczyznę, Kieleckie do Warszawy.

W 1987 roku chciałam raz jeszcze zobaczyć Górki Wielkie i odetchnąć po wielu, wielu latach powietrzem Śląska Cieszyńskiego. Pojechałam z grupą seniorów, harcerzy śląskich, autobusem 60-osobowym. Wszyscy byli siwi i starzy, ja też. Katowice, Górki Wielkie, po drodze wstąpiliśmy do domku p. Zofii Kossak-Szczuckiej-Szadkowskiej pod Skoczowem. To mały domek gospodarczy. Dwór się spalił. Trzeba było zamieszkać tutaj i tu złożyć później cenne pamiątki po pisarce. Naszej przyjaciółce z czasów przedwojennych.

Szkoły harcerskie: Bucze – szkoła żeńska stała nienaruszona, tylko w niej ośrodek dla dzieci chorych pod opieką Ministerstwa Zdrowia. Szkoła Instruktorów Zuchowych i cały ośrodek męski stoi nienaruszony, tylko brudny i zniszczony.

Deszcz lał. Wysłam z autobusu i przez furtkę weszłam w obejście. Nikogo, pusto, drzwi otwarte. Zajrzałam do stróżówki – nikogo. Dom Kursów otwarty, pusto. Nikogo. Dom ogólny – brak pergoli, która łączyła go z domem kursów. Zamknięty – nikogo. Dom Zuchów. Wejść można było tylko przez taras – drzwi zamknięte, nikogo. Tylko małe stoliki i krzeselka mówiły o przeznaczeniu domu. Wróciłam zgłębiona do autobusu. Nic nie mówiąc do otoczenia dojechałam do Katowic, wsiadłam do pociągu do Warszawy. W kilka dni po tym otrzymałam list od instruktorki śląskiej – zuchowej. To ślaczka, pamięta mój przyjazd do Górek W. na kurs instruktorów zuchowych. Czytam:

Nazywam się Waleria Topol z domu Wawrzyniak, ur. 1920 roku, zamieszkała w Rudzie Śląskiej.

W 1937 roku, w grudniu, byłam w Górkach Wielkich na kursie drużynowych zuchów i wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Aleksandra Kamińskiego

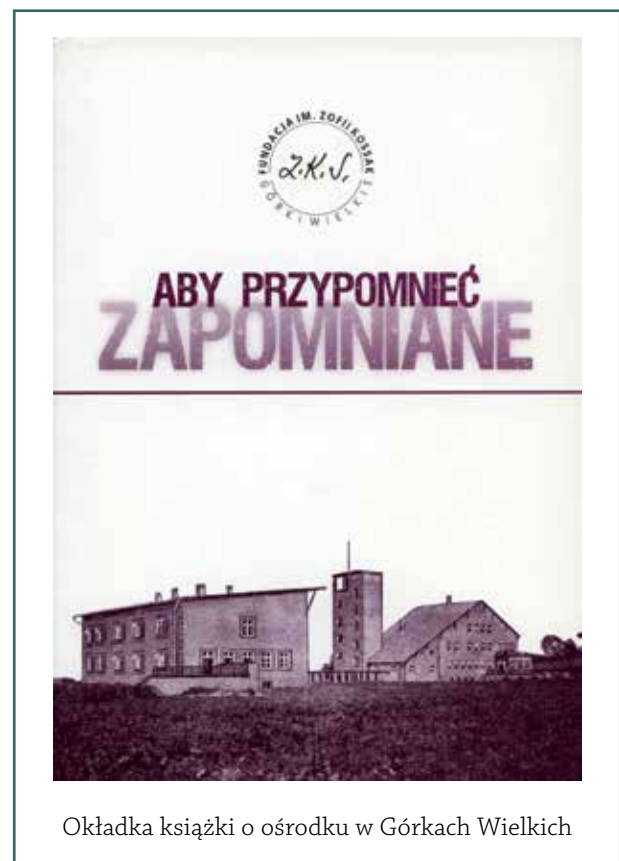
go zwanego przez kursantów po cichu „Kamykiem” lub „Aka”. Przyjął nas ciepło i serdecznie. Po latach pracy w harcerstwie, kiedy nabyłam wprawę organizatorskiej, zrozumiałam, jak wielkimi obciążony był obowiązками. Mimo tych zadań miał zawsze dla nas czas, dobre słowa, przyjazny gest. Fascynował nas swoją osobowością, sposobem bycia przykuwał naszą uwagę. Czarował każdą gawędą. Budził w nas radość życia i wyzwalał chęć działania, stania się doskonalszym, lepszym. Tam też mieliśmy możliwość poznania wielu instruktorów, jak niezapomniany Donat Datoń zwany przez nas „Ghandi-Selinek”, dh Bobrowski, dh Lis i inni, których nazwiska już zapomniałam. To oni wpajali w nam wiedzę pedagogiczną, psychologiczną i dydaktyczną. Wszystko odbywało się sposobem: „nie nudzić ucząc, nie nużyć bawiąc”. Drogą ćwiczeń i zabaw, drogą najbardziej przyswajalną. Wszyscy byli dla nas niezwykle życzliwi i serdeczni. A przecież nie wszystkie powierzone nam obowiązki były przez nas wykonywane właściwie, mimo to nikt nas jednak nie ośmieszał i nie wytykał niedoskonałości. Od chwili przyjazdu na kurs ośrodek oddany nam został pod opiekę. Do nas należało utrzymać go w porządku i czystości.

W kuchni pełniliśmy dyżury kolejno. Mimo, że byłam w tym męskim towarzystwie jedyną dziewczyną, „Kamyk” nie zrobił z tego dramatu. Budziło to komentarze moich kolegów – druhow. Jedynie na jednym z kominków na którym kolejno każdy z nas, miał gawędę, zachęcił do opowiedzenia o drodze do mojej drużyny chłopięcej i pracy z nimi. Nie wiem, czy moja opowieść zdecydowała o mojej karierze w Górkach Wielkich, ale od tej pory byłam zapraszana do Górek dwa razy w roku w czasie wakacji szkolnych. W tym samym roku na Wielkanoc, więc zaledwie w trzy miesiące później, znów dostałam zawiadomienie na tygodniową konferencję. Były tam również harcerki, ok. 20 druhen, przeważnie nauczycielki. Kamyk zastosował wobec mnie kurację „wstrząsową”. Idąc wzdłuż stojących w szeregu druhen lustrował nas bacznie, jak to było w jego zwyczaju. Zatrzymał się przede mną, polecił mi wystąpić z szeregu, poczem oznajmił, że mianuje mnie komendantką druhen na okres pobytu w Górkach.

Spośród dalszych kursów i konferencji zapamiętałam przedostatnią, która miała miejsce w 1938 roku. Od 27 grudnia [19]38 [roku] konferencja a następnie kurs namiestników wychowawczych, w którym brałam

udział. Zorganizowaliśmy harcerskiego Sylwestra, który pozostał nam na zawsze w pamięci. Duszą tego był Kamiński i Datoń. Pamiętam, że każdy z nas musiał być według własnego pomysłu przebrany. Improvizowaliśmy Ligę Narodów, byliśmy aktorami, politykami i postaciami z bajki, siuksami. Każdy zgodnie z przebraniem występował ze swoim programem. W końcu wszyscy przebierańcy połączeni łańcuchem dłoni, obiegliśmy wszystkie trzy nasze budynki, sale, klatki schodowe, pokoje, piwnice z ogromnym śpiewem. W styczniu w czasie kursu namiestnikowskiego Kamyk urządził nam kulig do Brennej, w której odbywał się kurs drużynowych.

Dalej pisze J. Kamińska: [...] Mnożą się gromady wychowawcze. Mnożą się instruktorzy i instruktorki wychowawcze. Powodzenia! Właśnie w tej chwili telefon! Nowy instruktor – ten chce także pracować nie z młodzieżą, ale z ludźmi starymi, w domach starców. A więc jeszcze jedna myśl Olka – współpraca z ludźmi, którzy odchodzą z życia. Wydano nawet jego książkę pt. Gerontologia społeczna, w której ta gałąź społeczeństwa polskiego jest wzięta pod opiekę. A więc dobrze się stało, że Al. Kamiński, cały swój żywot poświęcił potrzebującym: młodzieży i starcom – tym którzy najbardziej potrzebują wsparcia w trudnych losach życiowych.



Okładka książki o ośrodku w Górkach Wielkich



Żegnajcie moi mili, bądźcie weseli i uczynni – tak jak przystało harcerskiej młodzieży świata.

Janina Kamińska

Warszawa, 7 grudnia 1987 r.

Potrzeba chwili

Śląsk Cieszyński to kraina przepiękna trudną i piękną historią, to także piękne tereny pod względem geograficznym i krajobrazowym, świetnie nadające się na krótkie wypadki weekendowe i dłuższy wypoczynek stacjonarny oraz wędrowny. Przejście tylko tych dwóch zaprezentowanych na mapie szla-

ków pozwoli na odkrycie pięknych miejsc i doznanie wielu ciekawych przeżyć.

Podjęte przez Fundację im. Zofii Kossak działania przypominające o zagrożeniu istnienia Ośrodka Kształcenia Starszyny Harcerskiej w Górkach Wielkich wymagają poparcia i nagłośnienia, a przede wszystkim przypomnienia roli państwa i władz samorządowych w mądrym zagospodarowaniu tego miejsca. Może pora wskrzesić dawną ideę przyświęcającą powstaniu ośrodka – szkolenia młodzieży harcerskiej i jako miejsca aktywnego wypoczynku. ■

M. Popiel